

Ludzie są, ale amunicji brak...

2 sierpnia 2022

W latach 1970. Krzysztof Kąkolewski opublikował książkę „Co u pana słychać?”. Jest to zbiór kilku rozmów jakie autor przeprowadził z niemieckimi zbrodniarzami wojennymi, którym po wojnie udało się uniknąć kary. Niektórzy zrobili nie tylko kariery zawodowe ale i polityczne.



Jednym z rozmówców Kąkolewskiego jest Heinz Reinefarth, generał, który otrzymał od Himmlera zadanie spacyfikowania walczącej z niemieckim okupantem Warszawy, a zwłaszcza dzielnicy Wola. Reinefarth przybył do stolicy okupowanej Polski wraz z posiłkami 4 sierpnia 1944 roku. Po wojnie uniknął on kary – po 20 latach procesu sąd we Flensburgu umorzył ostatecznie sprawę nie dopatrując się u podejrzanego winy. Indagowany przez Kąkolewskiego o odpowiedzialność za ludobójstwo popełnione na Warszawiankach, Reinefarth zaprzecza. „To nie był spacer po Warszawie. Jeśli istnieje piekło to jest nim walka uliczna. (...) Zawsze, wtedy też, mówiłem, że polscy bojownicy o wolność bardzo odważnie i bardzo wspaniale walczyli”. Były hitlerowski generał broni się, że Niemcy strzelali tylko do ludzi uzbrojonych, do partyzantów. Nie wyklucza jednak, że mogły zdarzać się „wypadki, że strzelano do dzieci nieuzbrojonych, myśląc, że są uzbrojone”.

Książka Piotra Gursztyna „Rzeź Woli. Zbrodnia nierozliczona”, opublikowana przez Wydawnictwo DEMART, opisuje to, czego z ust niemieckiego zbrodniarza nie usłyszymy. Z jej treści jednoznacznie wynika, że linia obrony Reinefartha, jakoby z rąk Niemców ginęli wyłącznie powstańcy, jest kłamstwem. Nawet gdyby niemiecki sąd inaczej spojrzał dziś na przypadek Reinefartha, nie ma to już większego znaczenia, poza symbolicznym. Zmarł on w 1979 roku i zapewne płaci dziś – na tamtym świecie – wysoką cenę za swoje czyny.

Przejdźmy jednak do książki Gursztyna... Składa się ona z kilku części: życie Woli przed i podczas okupacji, wybuch Powstania, masakra 5 sierpnia, opisy bestialstwa, wypędzenie ludności Warszawy do obozu w Pruszkowie, osobiste przeżycia Warszawiaków, bilans, tragedii i sylwetki odpowiedzialnych za zbrodnie Niemców. Autor, powołując się na wybrane relacje ludzi wnioskuje, że mieszkańcy tej dzielnicy czekali na wybuch Powstania z utęsknieniem i gdy tylko to nastąpiło, aktywnie włączyli się w jego przebieg, chociażby przy budowie barykad. Ale czy ich zapał i gotowość do poświęceń mogły wystarczyć w sytuacji fatalnego przygotowania samych oddziałów zbrojnych? „Dowódcą III Obwodu AK obejmującego Wolę był 40-letni wtedy major „Waligóra” – Jan Tarnawski. (...) Rozkaz o godzinie „W” otrzymał o 7 rano, a więc zbyt późno aby zawiadomić wszystkich podwładnych. Krótki czas mobilizacji nie pozwolił na skuteczne powiadomienie wszystkich żołnierzy Obwodu. Z 2700 zaprzysiężonych na miejsce zbiórek zdążyło się stawić na czas 1050 żołnierzy. Na dodatek broni starczyło tylko dla 200” – pisze Gursztyn.

Mimo początkowych sukcesów, Niemcy zaczęli odzyskiwać teren już po kilku dniach. Jak zauważa autor, pierwsze cztery dni Powstania na Woli można określić jako sielankowe. Koszmar zaczął się 5 sierpnia 1944 roku. Dzień wcześniej, późnym wieczorem przybyły do Warszawy posiłki na czele z generałem Heinzem Reinefarthem. Sporą ich część stanowili współpracujący z Niemcami rosyjskojęzyczni kolaboranci ze Wschodu. Ludność Warszawy nazywała ich potocznie „mongołami”, „ukraińcami” lub „kałmukami”. Inny oddział kolaborantów zwany RONA skierowany został na Ochotę, gdzie dopuścił się okrutnych zbrodni. W pacyfikacji Woli wstąpił się ponadto składający się z różnych młodych wykolejeńców (również 17-latków) batalion pułku SS „Dirlewanger”.

Paradoksalnie rzeź zaczęła się od miejsc, które – jak pisze Gursztyn – nie widziały nigdy żadnego powstańca, nie toczyły się tam żadne walki. Zbrodniarze poruszali się od

peryferyjnych ulic Woli i podążali w stronę jej centrum. Ludzi wyciągano z kamienic i rozstrzeliwano. Nie oszczędzano nawet niedołączonych kobiet ani dzieci. 11-letni wówczas Wiesław, choć trafiony kulą, przeżył tylko dlatego, że osłabiony stoczył się podczas ucieczki na drugą stronę wału. Potem dotarł do posesji, gdzie pomogły mu dwie kobiety, obmywając z krwi. Miejsce, w którym się znalazł było jak z innego świata, mimo że oddalone było od centrum masakry dosłownie o kilkaset metrów. „Jest domek jednorodzinny murowany, studnia czerpana, jakieś dwie panie chodzą po ogródku... Tam egzekucja a tutaj cisza, nic się nie dzieje, zupełnie inny świat”. Gursztyn obok wspomnień Wiesława dodaje: „To zadziwiające, ale rzeczywiście kilkaset metrów od głównej arterii, ul. Wolskiej, którą przemieszczali się Niemcy, mieszkańcy uniknęli Rzezi. Kilkaset metrów od miejsca, gdzie została wymordowana jego [Wiesława] rodzina”.

Opisy rzezi są porażające. Roztrzaskiwanie niemowląt o ściany, zasypywanie i palenie żywcem, wrzucanie granatów do piwnic, w których ukrywali się ludzie, masowe gwałty („Danusia patrzyła przez okno na ludzi pędzonych przez Niemców. Zobaczyła scenę, gdy wyrwał z tłumu młodą dziewczynę. Oderwał ją od matki i zgwałcił. Potem zamknął ją w szoferce porzuconego samochodu i podpalił”). Masowe egzekucje przebiegały według podobnego schematu: wyciągano ludzi z domów przed budynki i wykańczano seriami z karabinów maszynowych, albo pędzono całe grupy na jakiś plac, gdzie dokonywano zbrodni. Tak m.in. wyglądała eksterminacja personelu i pacjentów szpitala na Woli, która w książce Gursztyna opisana jest bardzo szczegółowo dzięki relacjom ludzi, którzy ją przeżyli. Jeden z lekarzy, który uniknął śmierci, usłyszał od eskortującego go niemieckiego żołnierza: „Jest wojna, wy Polacy sami to powstanie zaczęliście. Muszą być ofiary”.

Szacuje się, że zaledwie w ciągu kilku dni wymordowanych zostało od 30 do 60 tysięcy mieszkańców Woli. Spory udział w masakrze polskiej ludności mieli kolaboranci ze Wschodu:

„ukraińcy”, „kałmuki”, „mongoły”. Wiele ofiar tuż przed śmiercią słyszało, jak język niemiecki miesza się z rosyjskim.

Powstanie na Woli trwało tak naprawdę 4 dni. Po początkowej euforii, już 5 sierpnia zaczęło się spychanie powstańców do Śródmieścia. Wola jako pierwsza doświadczyła działania zbrodniczej niemieckiej maszyny. Rozkaz nazistowskiej wierzchołkowej: „Każdego mieszkańca należy zabić, nie wolno brać żadnych jeńców. Warszawa ma być zrównana z ziemią i w ten sposób ma być stworzony zastraszający przykład dla całej Europy”, wykonany został bardzo precyzyjnie. Wielu ludzi przeżyło, to fakt, ale głównie dzięki przypadkowi (kula tylko musnęła), sprytowi (udawanie volksdeutschów lub ucieczka) czy zwykłemu szczęściu (niemieckie szwadrony śmierci akurat wtedy nie przeszły). Niektórzy z tych, co przeżyli musieli spędzić wiele godzin pod stertami trupów, udając jednego z nich.

Heinz Reinefarth, kat Woli, po wojnie szanowany adwokat, na kilkanaście lat zdobył sobie zaufanie mieszkańców niemieckiej wyspy Sylt, zostając jej burmistrzem. W rozmowie z Krzysztofem Kąkolewskim stwierdził, że był przeciwny egzekucjom i gdy tylko dostawał o nich meldunki natychmiast je odwoływał. Tłumaczy, że nie wiedział o masowych mordach: „To ludzie Dirlewangera i Kamińskiego”. Ta rzekoma „niewiedza” wystarczyła niemieckiemu sądowi, by Reinefartha oszczędzić. „Jest różnica między prawem polskim a niemieckim” – mówi Kąkolewskiemu – „Niemieckie uznaje winnym tego, kto wydał zbrodnicze rozkazy lub nie ingerował, jeśli wiedział o zbrodniach. W polskim prawie dowódca odpowiedzialny jest za wszystko, co wydarzyło się na terenie dowodzenia, nawet jeśli o tym nie wiedział”. Sprawa, wydawałoby się, zakończona.

Jednak ofiary rzezi na Woli oraz ich rodziny wciąż domagają się zadośćuczynienia. Książka Piotra Gursztyna jest takim choćby symbolicznym oddaniem czci tym, którzy ponieśli najwyższą ofiarę. Jedno z ludobójstw jakich dokonano na Polakach podczas II wojny światowej, obok sowieckiego i ukraińskiego, dokumentuje właśnie książka „Rzeź Woli. Zbrodnia

nierozliczona". Wolska tragedia to nie tylko tysiące śmiertelnych ofiar, nie tylko rany na psychice tych, którzy przeżyli, ale także degradacja materialna – zniszczone budynki, ale również rozgrabione przez hitlerowską hołotę, wspartą przez „kałmuków” i „ukraińców”, kosztowności Polaków – złoto, zegarki, błyskawicznie zrywane z jeszcze żywych, jak i już martwych. Tych, nieodwracalnych już strat nikt chyba nawet nie próbował policzyć, bo i jak zresztą.

Piotr Gursztyn, jako zwolennik poglądu o słuszności decyzji o wybuchu Powstania, zdaje sobie sprawę z tego, że przedstawione przez niego opisy „zbrodni nierozliczonej” rodzić muszą szereg pytań, nie tylko o odpowiedzialność Niemców, ale także tych, którzy podjęli decyzję, by rwać się „z motyką na Słońce”. Dlatego zapewne, by takie wątpliwości rozwiązać, w ostatnim rozdziale „Zamiast postłowia” przytacza opinie kilku Warszawiaków, zwykłych mieszkańców Woli uratowanych z masakry, którzy po latach stwierdzają, że Powstanie miało sens. Aż trudno uwierzyć, że Gursztyn nie natrafił na choćby jedną opinię, która reprezentowałaby odmienny pogląd. Choćby dla higieny wypadało taką wypowiedź w książce zamieścić.

A co zrobili Powstańcy dla ratowania ludności Woli? Akowcy, choć docierały do nich wieści o masakrze, sami chyba do końca nie wierzyli, że to się dzieje naprawdę. Nie byli też w stanie pomóc, spychani już od pierwszych dni Powstania, w kierunku Śródmieścia. Symptomatycznie brzmią zdania zawarte w raporcie, „Radosława” do „Montera”, sporządzonym o 3 nad ranem, 6 sierpnia 1944 roku: „Mam skupione na moim odcinku tysiące uchodźców z Woli. Szykuje się olbrzymia tragedia tak jak historyczna rzeź Pragi. Robię, co mogę, żeby tę tragedię zmniejszyć”. Dwie godziny później pisał: „Ludzie są ale amunicji brak. (...) Kijem nikogo nie obronię”.

Czytając książkę Gursztyna warto mieć na względzie i ten aspekt nierozliczonej dotąd zbrodni na Woli.

Autorstwo: PSz

Źródło: ProKapitalizm.pl